

## JAPONIA – KARTKI Z HISTORII

### Przemiany w epoce Meiji w oczach brytyjskiego podróżnika

Rudyard Kipling

#### LISTY Z JAPONII (1889)<sup>1</sup>



Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa; Kraków – G. Gebethner i Sp., 1904, 157 str.

(fragmenty)

List I: Dziesięć godzin pobytu w Japonii, a w tem całkowity opis obyczajów i zwyczajów narodu japońskiego, historia jego konstytucyi, jego przemysłu, sztuki i cywilizacyi, oprócz kolacyi, którą spożyłem z O-Toy w herbaciarni

Dziś rano, po udręczeniach nocnego bujania się okrętu, ujrzałem przez okno kajuty dwie wielkie szare skały, pokryte zielonemi smugami i uwieńczone dwiema karłowatemi czarno-niebieskimi sosnami. Poniżej skał – łódź, takiej barwy i delikatności, jakby była zbitą z drzewa sandałowego, kołysała na wietrze porannym blado-żółty żagiel. Młody chłopiec, z cerą twarzy w tonie starej kości słoniowej, szafirowo odziany, ciągnął za linę. Skała, drzewo i łódź tworzyły obraz parawanu japońskiego, co mnie utwierdziło w przeświadczeniu, że ląd nie jest złudzeniem. Nasza poczciwa, stara ziemia chowa w zapasie wiele rozkoszy dla swych dzieci, ale w skarbach jej mało jest takich, któreby można porównać z radością oglądania nowego kraju, obcej całkiem rasy i odmiennych obyczajów. Napisano już całe

<sup>1</sup> Zachowano oryginalną pisownię, a także oryginalne przypisy. Polskie wydanie przygotowano prawdopodobnie na podstawie wydania: *Sea to Sea and Other Sketches, Letters of Travel*, Doubleday & McClure Company, New York 1898 – tomu artykułów przygotowanych podczas podróży z Indii, przez Birnę, Singapur, Hongkong, Japonię i Stany Zjednoczone do Londynu w 1889 r. Wspominały przez Kiplinga profesor był przypuszczalnie jego towarzyszem podróży.

biblioteki podróźnicze, ale to nie przeszkodzi, aby każdy z nas był na swoją rękę Cortezem. Jestem tedy w Japonii, w Japonii pudełek i wyrobów stolarskich, w kraju ludzi czarujących i uprzejmych, w kraju, z którego pochodzi kamfora i laka i szable z pochwami ze skóry rekina; jestem, jak się mówi w książkach, wśród narodu artystów. Co prawda, po drodze, do Kobe, mamy się zatrzymać w Nagasaki przez dwanaście zaledwie godzin, ale w czasie takim można przecież zebrać sporo nowych wiadomości.

Jakiś obrzydliwy człowiek zbliża się do mnie na moście i podaje mi niewielką, o jakich pięćdziesięciu stronicach książeczkę w blade-niebieskiej okładce.

– Czy widziałeś pan – pyta – konstytucję japońską? Cesarz napisał ją sam niedawno. Wzorowana jest od początku do końca na konstytucjach europejskich.

Wziąłem broszurę i znalazłem w niej całkowitą konstytucję, na papierze z pieczęcią chryzantemu cesarskiego, wyborny plan przedstawicielstwa narodowego, reform, płacy deputowanych, określenia budżetu i prawodawstwa. Straszna to rzecz przy bliższym zbadaniu, bo – rozpaczliwie angielska.

Na wzgórzach otaczających Nagasaki dojrzałem zieleń z żółtawym odcieniem; różniła się ona, jak wskazywał mój umysł pełny dobrej woli, od zieloności innych krajów. Była to zieleń parawanów japońskich. Sosny były także parawanowe. Miasto z trudem wylaniało się z zatłoczonego nadmiernie portu. Leży ono wśród pagórków, a jego dzielnica handlowa, czyli zaniedbane wybrzeże, jest pusta i błotnista. Handel, jak o tem z radością postyszałem, stoi w Nagasaki dość nisko. Japończyk nie powinienby mieć żadnego związku z interesami handlowymi.

Humor mój wzmógł się jeszcze, gdy wylądowałem: młody dżentelmen, ze srebrnym chryzantemem na czapce policyjnej, w źle dopasowanym, niemieckim uniformie, zagadał do mnie czystą angielszczyzną, że mnie nie rozumie. Był to japoński urzędnik celny. Gdyby nasz pobyt przedłużył się nieco, płakałbym nad nim, była to bowiem hybryda francusko-niemiecko-amerykańska, to jest szczególna dani-na złożona cywilizacji. Wszyscy urzędnicy japońscy, począwszy od policyantów, odziani są w europejskie niby ubrania, które im zgoła nie pasują. Sądzę, że mikado wprowadził je razem z konstytucją. Z czasem znikną naturalnie.

Kiedy fotel na kołach, ciągniony przez ładnego, puciołowatego chłopca, wprowadził mnie w dekorację pierwszego aktu Mikada<sup>2</sup>, z trudem powstrzymałem się od wydawania radosnych okrzyków, albowiem odzież moja jaśniała jeszcze całą godnością Indyi. Wyciągnąłem się na aksamitnych poduszkach i uśmiechałem się zalotnie do Pitti-Sing<sup>3</sup>, opasanej szeroką szarfą, ustrojonej w drewniane chodaki i w trzy olbrzymie szpilki, sterzące w czarno-granatowych włosach. I ona roześmiała się do mnie i ten śmiech, kobiecy śmiech, powitał mnie na wstępie do Ja-

<sup>2</sup> „The Mikado” jest to tytuł sztuki Gilberta i Sullivana, bardzo popularnej w Anglii.

<sup>3</sup> Pitti-Sing – to jedna z postaci sztuki „The Mikado”.

ponii. Czy ludzie mogą się tam powstrzymać od śmiechu? Sądzę, że nie. Mają oni przecież takie tysiące dzieci na ulicach, że starsi muszą się odmłodzić, aby się dzia-  
twa nie nudziła. Nagasaki zamieszkują wyłącznie dzieci. Starsze osoby są tam jedy-  
nie tolerowane. Dziecko, mające cztery stopy wzrostu, prowadzi za rączkę dziecień  
trzystopowe, to zaś kroczy z dzieckiem dwustopowem, które znów dźwiga na ple-  
cach maleństwo jednostopowe, to ostatnie wreszcie – ale nie dacie wiary, gdy wam  
powiem, że skala dochodzi do sześciocalowych lalek nipponskich, jakie sprzeda-  
ją w „Burlington Arcade”. Laleczki to poruszają się żwawo i śmieją. Odziane są  
w niebieskie koszulki, opasane szeroką szarfą, która znowu opasuje koszulkę tego,  
które je dźwiga. Gdy więc odwiążecie szarfę, wtedy i dzieciak i jego starszy brat  
ukazują się zupełnie nady. Widziałem, jak to zrobiła pewna matka, a cała opera-  
cja przypominała obłupywanie skorupki z jaj gotowanych na twardo.

Kto szuka nadzwyczajnych barw, płomienistych wystaw sklepowych i olśnie-  
wiających latarni, nie znajdzie nic z tego w wązkich, brukowanych ulicach Naga-  
saki.

Ale kto żąda sprawnej budowy domów, wzorów doskonałej czystości, wytwor-  
nego smaku, świetnego przystosowania rzeczy do potrzeb człowieka, znajdzie to  
wszystko, a nawet jeszcze więcej. Wszystkie dachy, kryte gontem lub dachówką,  
są ołowianego koloru, wszystkie zaś fronty domów mają kolor drzewa, takiego,  
jak je Bóg stworzył. Niema to ani dymu, ani pary, więc przy świetle chmurnego  
nieba mogłem przeniknąć zarówno do krańca wąziutkiej uliczki, jak do wnętrza  
siedzib ludzkich.

Opisywano wam wielokrotnie w książkach, w jaki sposób zbudowane są domy  
japońskie, a zwłaszcza owe rozsuwane parawany i papierowe przepierzenia; wszy-  
scy znacie historię tego rzezimieszka z Tokio, który używał tylko dłota do pod-  
ważania i wytrycha i skradł spodnie konsula. Ale wszystkie drukowane opisy nie  
dadzą wam dostatecznego pojęcia o czarującej delikatności sprzętów, które moż-  
naby zburzyć jednym kopnięciem lub połupać na drobniutkie drzazgi silnem ude-  
rzeniem pięści. (s. 11)

(...)

(s. 16) Mogę was zapewnić, że trudno zachować powagę, gdy człowiek siedzi na  
schodach herbaciarni i szamocze się z zabłoconymi butami. I trudno mieć wytwor-  
ne maniery, gdy się chodzi w samych tylko pończochach i gdy podłoga jest gład-  
ka, jak szkło, a ładna dziewczyna pyta, gdzie chcesz jeść śniadanie. Weźcie przy-  
najmniej ze sobą, gdy tu przyjedziecie, parę ładnych skarpetek ze skóry sambhur  
lub z haftowanego jedwabiu, abyście nie pokazali się, jak ja w brązowych tanich  
skarpetkach, z cerami na piętach, gdy próbowałem rozmawiać z dziewczętami.

Wprowadziły nas trzy, wszystkie ładne i świeże, do pokoju, w którym rozpoznałam skórę złotawo-brunatnego niedźwiedzia. Tokonoma<sup>4</sup> za całe umeblowanie miała obrazek, przedstawiający nietoperzy wirujących wśród zmierzchu i bambusową żardinierkę z żółtymi kwiatami. Sufit wyłożony był gładkim drzewem, z wyjątkiem wąskiego paska przy oknie, ozdobionego plecionką z wiórów cedrowego drzewa, oddzieloną od reszty sufitu brunatnym bambusem tak wygładzonym, jakby był pociągnięty laką. Lekkie dotknięcie usunęło na bok ścianę i weszliśmy do obszernego pokoju, gdzie była również tokonoma, oprawiona z jednej strony w listwy cztery lub pięć łokci długości z nieznanego gatunku drzewa, mającego takie same słoje, jak „bambus z Penangu”, u góry zaś – przybrana odartą z kory gałęzią osobliwego kształtu. W tej drugiej tokonoma stał jedynie perłowo-popielaty wazon i nic więcej. Dwie ściany pokoju były z naoliwionego papieru, a złączenia belek pokryto mosiężnymi kratami pół naturalnej wielkości. Z wyjątkiem progu tokonomy, zrobionego z czarnej laki, wszędzie drzewo naturalne, bez skazy. Poza tem znajdował się ogródek, opasany płotem z karłowatych sosenek, przyozdobiony kwitnącym drzewem wiśni i maleńką sadzawką, z wygładzonymi i zapuszczonymi w ziemię kamieniami.

Pozostawiono nas samych w tym rajach czystości i piękna, a ponieważ byłem jedynie Anglikiem, pozbawionym wstydu i butów (biały człowiek czuje się zawsze poniżony, gdy jest boso), krążyłem około ścian, dotykając wszystkich parawanów. Dopiero, gdy się zatrzymałem dla obejrzenia niewidzialnej prawie klamry, spinającej ściany, spostrzegłem, że jest to inkrustacja, na której przedstawiono dwa białe żorawie, pożerające rybę. Całość miała około trzech cali kwadratowych i w zwykłych warunkach nie zwróciłbym na nią wcale uwagi. Parawany służą za szafy; chowają za nimi wszystkie lampy, świeczniki i poduszki całego domu. Naród wschodni, który umie utrzymać porządek w szafie, godzien jest, aby mu oddać pokłon do samej ziemi. Wszedłem po schodach z surowego drzewa i laki do pokojów przedziwnie pomyślanych, z okrągłymi oknami, nie dającymi żadnego widoku i zaplecionemu bambusową siatką dla rozkoszy wzroku. Korytarze z ciemnego drzewa lśniły się, jak lód, a ja czułem się upokorzony. (...)

Dziewczęta przyniosły herbatę w filiżankach z niebieskiej porcelany i ciastka na miseczce z czerwonej laki, ciastka, jakie znaleźć można w kilku zakładach w Simla. Zasiadliśmy niezgrabnie na czerwonych dywanach, rozłożonych na matach, i podano nam pałeczki do krajania ciastka. Było to niełatwe zadanie. (...)

Służące powróciły – tym razem było ich pięć – z tacami z czarnej laki, rozmiaru stopy kwadratowej, a wysokości czterech cali. Miały to być stoliki dla nas. Dziewczęta przyniosły także miseczkę z czerwonej laki, pełną ryby ugotowanej w słonej wodzie, oraz morskie anemony. Papierowa serwetka, owiązana złotą nit-

<sup>4</sup> Tokonoma jest to rodzaj niszy, która się znajduje w każdej herbaciarni japońskiej.

ką, zawierała nasze pałeczki; a na małym płaskim spodeczku leżał wędzony rak, plasterek czegoś podobnego do puddingu z Yorkshire, a mającego smak słodkiego omletu i zwinięty kawałek czegoś przezroczystego, co było niegdyś istotą żyjącą, a potem zostało zamarynowane. (...)

Po surowej rybie i musztardowym sosie dostaliśmy inny gatunek ryby gotowanej ze smażonymi rzodkiewkami, a ześlizgującej się łatwo z pałeczek. Dziewczęta pokłękały w półkole i wykrzykiwały radośnie na widok niezgrabności profesora, boć nie ja wywróciłem stół obiadowy wśród daremnych wysiłków jedzenia z wdziękiem. Po młodych pędach bambusowych podano salaterkę bardzo smacznej białej fasoli ze słodkim sosem. Ale spróbujcie donieść fasolę do ust za pomocą dwóch kościanych drutów, a zobaczycie, co się stanie. Kurczęta wybornie ugotowane z rzepą, miska śnieżno-białej ryby bez ości, oraz odrobina ryżu, zakończyły ucztę. (s. 19)

LIST VI: Towarzystwo w herbaciarni, bawiące się w gry. –

Całkowita historia nowoczesnej sztuki japońskiej.–

Rzut oka na przeszłość i proroctwa na przyszłość, ułożone w fabrykach Kioto

(...)

(s. 77) W jaki sposób dostałem się do herbaciarni, nie umiem powiedzieć. Może jaka piękna dziewczyna skinęła na mnie gałązką rozkwitłej wiśni, a ja przyjąłem zaprosiny. Wiem tylko, że rozciągnąłem się jak długi na matach i wpatrywałem się w obłoki, przepływające po niebie, i w kłody drzewa, płynące po wodzie, wchłaniałem zapach drzewa, świeżo odartego z kory, wsłuchiwałem się w nawoływania flisaków i czułem się szczęśliwszy, niż przystoi być człowiekowi na tej ziemi.

Właścicielka herbaciarni nastawała na to, ażeby nas odgrodzić parawanem od innych towarzystw, bawiących się na tej samej werandzie. Przyniosła ładne, niebieskie parawany z wymalowanymi bocianami i powsuwała je w listwy. Wytrzymałem, dopóki mogłem. Z poza parawanu dochodziły wybuchy wesołego śmiechu, tupot małych nóżek, brzękanie talerzyków, a w szparach połyskiwały blaski brylantowych oczu. Cała rodzina z Kioto wybrała się na wycieczkę. Mama zajmowała się babcią, młoda ciocia gitarą, a dwie dziewczeczki lat czternastu i piętnastu – małym ośmioletnim chłopczykiem, który ze swej strony zajmował się maleńkiem dzieciątkiem, które znowu wyglądało tak, jakby się zajmowało całym towarzystwem. Babcia ubrana była w kolor ciemno-niebieski, mama – niebiesko i popielato, dziewczęta miały wspaniałe szaty krepowe, w desenie z kwiatów ponsowych i lila, szarfy koloru kwiatów jabłoni z podbiciem koloru świeżo rozkrojonego melona; chłopczyk nosił złociste rdzawo-brunatne suknie, a maleństwo w tęczowych,

dyskretnych barwach przewracało pomiędzy talerzami pulchne swe ciało. Wszyscy byli ładni, z wyjątkiem prostodusznej, łysej babci; gdy skończyli obiad i sprzątnięto lakowe stoliczki, biało-niebieską porcelaną i zielonawe filiżanki, ciotka zaczęła grać na gitarze samisen, a dziewczątka bawiły się w ślepa babkę.

Człowiek z krwi i ciała nie zdołałby wytrzymać po drugiej stronie parawanu. Zapragnąłem bawić się także, ale byłem zbyt wielki i zbyt niezgrabny, mogłem więc tylko siedzieć i przypatrywać się tym porcelanowym figurkom. Krzyczały, wybuchały śmiechem, goniły się i przysiadaly na ziemi z niewinnym wdziękiem dziecięcym, a przerywały zabawę po to tylko, ażeby popieścić małego, gdy okazywał, że go zaniedbują. Bawiły się w czterech kątach, a nogi miały związane niebieskimi i białymi chusteczkami, gdyż maleńki pokoik krępował swobodę ruchów. A gdy zmęczone nie mogły już biegać, wachlowały się, oparte o niebieskie parawany, i każda z nich stanowiła obrazek, którego by żaden malarz nie potrafił oddać, ja zaś śmiałem się tak mocno, jak i one, aż stoczyłem się z werandy i byłbym upadł na ulicę. Czym oszalał? (s. 78)

(...)

(s. 81) Widziałem u Japończyków pewien gatunek pracy, ale nie takiej, która wydaje obfite żniwo. Była czysto artystyczna. Całą jedną dzielnicę Kioto zamieszkują rękodzielnicy. W tej części świata fabrykant nie wywiesza żadnego szyldu. W Paryżu lub New Yorku można go od razu zobaczyć. Anglik, który chce odnaleźć warsztat rzemieślnika w Kioto, musi go szukać z pomocą przewodnika w obrzydliwych ulicach. Zwiedziłem trzy pracownie: jedną – porcelany, drugą – emalii, trzecią – laki, inkrustacy i bronzów. Pierwsza znajdowała się poza płotem z czarnego drzewa; na zewnątrz wyglądała jak sklep z flakami. Wewnątrz siedział majster przy maleńkim ogródeczku, mającym cztery stopy kwadratowe, w którym palma o sztucznym wyglądzie wyrastała z prostego, glinianego wazonu i nakrywała swym cieniem karłowata sosenką. Reszta izby napelniona była porcelaną, gotową do opakowania. Był to po większej części gatunek nowoczesnego Satsuma, taki, jaki kupujemy na licytacjach.

– To się robi na wysyłkę do Europy, Indyi, Ameryki – objaśnił spokojnie majster. – Chcecie panowie obejrzeć?

Przez werandę z gładkiego drzewa zaprowadził nas do pieców, do kadzi z gliną, na podwórze, gdzie maleńkie półeczki oczekiwały na porcelaną. Pomiedzy wyrobami japońskimi a burslemskimi<sup>5</sup> istnieją liczne różnice techniczne, ale – małego w ogóle znaczenia. W oddziale, gdzie robotnicy lepili kadłuby słynnych wazonów Satsuma, koła, prowadzone ręcznie, pracowały zdumiewająco dokładnie. Garncarz siedział na czystej macie, obstawiony przyborami do herbaty. Kiedy już wyrobił wazon i przekonał się, że jest dobry, nalewał sobie nieco herbaty i za-

<sup>5</sup> Burslem, miasto w okręgu Stafford w Anglii, w którym wyrabiają fajansy Wedgwooda.

bierał się do następnego. Garncarze umieszczani byli w sąsiedztwie pieców i nie wiele ładnego mieli do pokazania. Inaczej było w salach malarskich. W budynku, jak pudełko, siedzieli mężczyźni, kobiety, dzieci, malując wazony po pierwszym wypaleniu. Zbyteczna rzecz wspominać, jaka panowała tam czystość i wykwićność ozdób: byli to przecież Japończycy i artyści. Gałąź kwitnącej wiśni wyrastała strzelisto z ponad ogrodzenia ogródka; pokręcona sosna odcinała się na błękitnym niebie rozstrzępionymi igłami, a na brzegach maleńkiej sadzawki kołysały się na wietrze irysy i skrzypy. Pracownikom, gdy uczuwali brak pomysłów, wystarczyło spojrzeć na otaczającą naturę. Gdzieś daleko, w brudnej Anglii, ludzie marzą o robotnikach, mogących pracować w takich warunkach, któreby sprzyjały rodzącej się myśli. Tworzą nawet związki i piszą napół rytmiczne modlitwy do Czasu, Powodzenia i innych bóstw. Czy chcą zobaczyć, jak się urzeczywistnia ich marzenie? Niech popatrzą na garncarstwo w Japonii, niech zobaczą, jak tu człowiek siedzi na śnieżnej macie, jak ma przed oczyma wdzięk linii i barwy, a potem, gdy spuści oczy, wydobywa, jak może najszybciej, zwykłą różnorodność odcieni wazonu Satsuma. Barbarzyńcy żądają Satsumy, więc będą go mieli, chociażby w Kioto robiono egzemplarz w dwadzieścia minut.

Właściciel drugiego zakładu mieszkał w gabinecie z czarnego drzewa – byłoby profanacją nazwać to domem – otoczony drogocennymi bronzami i medalami z wystaw angielskich, francuskich, niemieckich i amerykańskich. Spokojny był i cichy, jak kot, a mówił prawie szeptem. Pragniemy obejrzyć fabrykę? Owszem. Poprowadził nas przez ogród; dla niego było to niczem, lecz my stanęliśmy zachwyceni. Kamienne latarnie, porośnięte zielonkawym mchem, wychylały się z pośród bambusów, między którymi stały bociany [prawdopodobnie chodzi o żurawie – przyp. red.] wykute z brązu. Karłowata sosna obejmowała ramionami czarodziejską sadzawkę, w której poruszały się zwolna tłuste, leniwe karpie, a kilka czubatych nurów zaprotestowało głośno przeciw naszemu najściu. Cisza tu taka, że słycać szelest spadających kwiatów wiśniowych oraz tarcie się ryb o kamienie. Znajdowaliśmy się w samym centrum tych dekoracji, które zdobią wszystkie fajansy japońskie, i staliśmy nieruchomo, aby czegoś nie zepsuć. Japończycy podobni są do ptilinorynychów, ptaków australskich. Do ozdoby swych domów zbierają wszystko: kamyki, dziwacznie wygładzone przez wodę, odłamy skały, drobne kamyki. Zmieniając mieszkanie, zabierają ze sobą cały ogród – sosny i resztę, a nowy lokator może sobie przyozdabiać grunt podług swego gustu.

Po sześciu stopniach weszliśmy do budynku, gdzie szła robota. W jednym pokoju stały farby do emalii, starannie umieszczone w dzbanach nieposzlakowanej czystości, oraz miedziane wazony, przygotowane do emaliowania; niewidzialny ptak świergotał i gwizdał w klatce, a pudełko barwnych motyli stało na zawołanie malarza, gdy potrzebował modeli. W następnym pokoju siedzieli robotnicy, trzech

mężczyzn, pięć kobiet i dwóch chłopców – wszyscy milczący, jakby uśpieni. Inna to całkiem rzecz czytać o emalii na miedzi, a inna – patrzeć, jak ją robią. Zrozumiałem wysoką cenę tej pracy, gdy zobaczyłem, jak jeden z robotników układał deseń z gałązek i motylów na talerzyku, mającym dwadzieścia pięć centymetrów średnicy. Cieniutką niteczką srebrnego drutu oznaczał kontury, wciskając z niezmierną cierpliwością drucik szczypczykami w żyłki i ząbkowane brzegi listków rysunku. Najdrobniejsze stuknięcie w miedzianą tabliczkę rozsypałoby cały rysunek. Gdy już deseń został oznaczony, miedziany talerzyk wkładano do pieca, ażeby srebrny drucik mógł przylgnąć do rozpalonego metalu i aby w ten sposób zyskać wypukłe linie rysunku. Potem następuje kolorowanie, którym się zajmują małe chłopaki w okularach. Delikatnymi, stalowymi patyczkami czerpali oni ze stojących obok miseczek odpowiedniego odcienia masę i napełniali nią każdy kawałek rysunku. Niema miejsca na pomyłki, gdy trzeba napełnić farbą plamy skrzydełka motylego, gdy całe to skrzydełko ma zaledwie dwa i pół centymetra szerokości. Przyglądałem się długo zwinnym poruszeniom dziecięcych rączek, aż właściciel fabryki odwołał mnie do obejrzenia ciekawych wzorów groźnych smoków, strzępiastych chryzantemów, motylów, arabeskowanych delikatnie, jak mróz na szybach, a wszystko rysowane ręką nadzwyczaj pewną.

– Oto nasze wzory – zawołał. – Układam z nich kompozycje, a gdy mi braknie jakiej barwy, idę oglądać te nieżywe motyle.

Po wypełnieniu konturów farbami wazonik lub talerz idą do pieca, z którego wychodzą powzdymane miejscami, podobne do delikatnej majoliki. Niekiedy cały miesiąc trwa wykładanie konturów rysunku drucikiem na talerzu, drugi miesiąc – wypełnianie farbami, ale najwięcej czasu zabiera polerowanie. Pracownik zasiada, otoczony przyborami do herbaty, z wanienką wody, kawałkiem flaneli, dwiema lub trzema miseczkami, pełnemi odpowiednich kamyków. Nie dostaje ani kamienia trypoli, ani szmergielu, ani skóry wielbłądziej. Zasiada i wygładza. Gładzi miesiąc, trzy miesiące, rok. Gładzi z zamięłowaniem, wkładając całą duszę w końce palców, i stopniowo ginie przydymienie emalii od ognia, powierzchnia schodzi do równego poziomu ze srebrnym drucikiem, a rysunek występuje w całej wspaniałości. Widziałem robotnika, który od miesiąca już wygładzał wazonik pięć cali wysoki, a miał przy nim roboty jeszcze na dwa miesiące. Kiedy już będę w Ameryce, on będzie wciąż jeszcze wygładzał, a piękny, rubinowy smok na niebieskim tle, z każdą łuską, z każdym włoskiem, obwiedzionym srebrną obwódką, będzie coraz piękniejszy.– Jest też i tania emalia, na handel – objaśnił zarządzający z uśmiechem. – My nie możemy takiej wyrabiać. Ten wazonik będzie kosztował siedemdziesiąt dolarów.

Za to „nie możemy”, zamiast „nie wyrabiamy”, poczułem do niego szacunek. Znać było w tem wyrażeniu artystę. (s. 86)



## List VII: (...) O dzieciach w kąpielni...

(...)

(s. 100) Na pochyłości zbrocza i w ogrodzie hotelu roilo się od Australczyków, Anglo-Hindusów, mieszkańców Londynu i obywateli z krajów, po drugiej stronie kanału la Manche leżących. Swymi cudzoziemskimi kostyumami niweczyli oni cały urok krajobrazu. Profesor i ja zsunęliśmy się po tylnej skale i znowu stanęliśmy w Japonii. Po stromych schodach, wśród zbitego gąszczu zarośli, zeszliliśmy, jakie sześćset stop w dół, do łóżyska tego potoku, nad którym jechaliśmy poprzednio. Powietrze drgało od huku i szumu setek strumieni, a gdziekolwiek można było przejrzeć leśną gęstwinię, widzieliśmy bystry potok, rozbijający się o kamienie. Na górze, w hotelu, pozostawiliśmy listopadowy dzień i przejmujące zimno; tu, w głębi wąwozu, panował klimat Bengalu z wybuchami prawdziwej pary. Rury z zielonego bambusu doprowadzały ciepłą wodę do dwudziestu łazienek, gdzie na werandach przechadzali się Japończycy w białych i niebieskich szlafrokach, i palili. Z zarośli dochodziły śmiechy kąpiących się i – okropność – z za węgla wyszła czcigodna staruszka, krocząc najswobodniej bez żadnego okrycia, oprócz kąpielowego ręcznika i to niezbyt wielkiego. Zapuściliśmy się głębiej w wąwóz i patrzyliśmy na niebo poprzez splątane gałęzie.

Dziewczęta japońskie, czternasto i piętnastoletnie są wcale nie szpetne. Widziałem ich ze trzydzieści. Widok cudzoziemców nie zawstydział ich wcale. Zresztą, było to coś nakształt kąpeli morskich w Brighton, tylko bez kostyumów kąpielowych. W głębi wąwozu upał był coraz większy, a ciepła woda coraz obfitsza. Przez spojenia rur wybuchała para; dymiło również kamieniste łóżysko rzeki, a po zatkanie laski w ciepłą, wilgotną ziemię, dołek napełniał się wrzącą wodą. To, co jest, nie wystarcza jeszcze mieszkańcom, ryją przeto bezładnie ziemię w różnych kierunkach. Próbowałem zejść do basenu, ale para, która nie działała na skórę Japończyków, wyгнаła mnie stamtąd. I pomyślałem, co się stanie, gdy kilof dojdzie do źródła, a górnik zmuszony będzie uciekać, ażeby nie być ugotowanym we wrzącej wodzie?

O zmierzchu, gdyśmy powrócili na górę, na jednej z ulic Myanoszity zobaczyliśmy dwóch małych cherubinków, mniej więcej trzyletnich, biorących gorącą kąpiel w beczce, postawionej pod rynną dachu, przed sklepem. Udawali, że się nas zlekli, patrzyli na nas przez palce, dawali nurka i chowali się jeden za drugiego, a ojciec namawiał ich, żeby na nas prysnęli wodą. Był to najpiękniejszy obrazek z całego dnia; aby go zobaczyć, warto było znieść widok obrzydliwego, woniącego farbą hotelu. (...) (s. 100)

## LIST VIII: O źródle ciepłej wody i o różnych innych sprawach

(...)

(s. 107) Wsiadliśmy do maleńkiego tramwaju. Składał się on z dwóch wózków, jednego – pierwszej, drugiego – drugiej klasy. Do każdego zaprzężono po dwa konie i rozstawiono je o sto metrów jeden od drugiego. Jeden był pusty, drugi – do połowy wypełniony. Kiedy malutki konduktor nie mógł powstrzymać koni, co mu się przeciętnie zdarzało co dwie minuty, ciągnął gwałtownie za lejce i śmiał się – może z publiczności, która zapłaciła za wspaniałą powóz. A był to przecież konduktor artysta. Nie nosił jakiejś filisterskiej miedzianej blachy. Na ramionach niebieskiego żakietu miał wyszyte w półkole trzy białe szyny, a na połach surduta trzy koła tramwajowe stylizowane. Tylko Japończycy potrafią stylizować koła tramwajowe albo też szyny zamieniać na oznaki urzędnicze. Chociaż trzeba było pół doby na przejechanie czterdziestu kilometrów do Yokohamy, nie pożałowaliśmy tej podróży, kiedyśmy oczekiwali naszego pociągu w wiosce, nad brzegiem morza. Każda większa wioska tworzy jedną ulicę, kilka wiorst długości. Wsie, które posiadają więcej, niż dziesięć tysięcy ludności, zaliczają się do rzędu miast.

– A jednak – mówił mi tego samego wieczora pewien człowiek w Yokohamie – nie widziałeś pan jeszcze okolic najgęściej zaludnionych. Trzeba się udać do kens, czyli powiatów zachodnich. Ludzie są tam istotnie natłoczeni, ale biedy w kraju wogóle niema. Robotnik rolny, o ile ma dosyć ryżu, umie utrzymać rodzinę kosztem czterech centów dziennie, a ceny ryb są też niskie. Sto funtów ryżu można mieć obecnie za dolara. Ile to wynosi podług systemu hinduskiego? Dwadzieścia do dwudziestu pięciu seerów za rupię. Mniej więcej tyle. Otóż robotnik zarabia trzy i pół dolara miesięcznie. Ludzie wydają tu ogromnie dużo na przyjemności. Potrzebują rozrywki. Nie sądzą, żeby zdołali coś zaoszczędzić. W co wkładają oszczędności? W klejnoty? Nie, nie zupełnie, chociaż szpilki do włosów, jedyny prawie klejnot, noszony przez kobiety japońskie, kosztują niekiedy drogo. Za dobrą szpilkę płaci się siedem lub osiem dolarów, a cena prawdziwych jaspisów bywa bardzo wygórowana. Ale najwięcej pieniędzy topią kobiety w swe obi, czyli, jak wy nazywacie, szarfy. Obi ma dziesięć lub dwanaście metrów długości, a widziałem obi, które sprzedawano hurtem po pięćdziesiąt dolarów sztuka. Każda kobieta, nawet z klasy ubogiej, posiada przynajmniej jedno ubranie jedwabne i jedną obi. Wszystkie oszczędności idą na piękną toaletę. Powiaty zachodnie są najbogatsze. Uzdolniony mechanik zarabia tam półtora dolara dziennie, a, jak panu wiadomo, robotnicy, pracujący przy lakach i inkrustacjach, to jest artyści – po dwa dolary. W Japonii dosyć jest pieniędzy na bieżące wydatki. Nie zaciągają pożyczek na budowę kolei. Emisye papierów pokrywają sami. Pod względem

kolei żelaznych są Japończycy bardzo postępowi. Umieją budować koleje tanio, znacznie taniej, niż w Europie. Mam pod tym względem nieco doświadczenia, więc mogę powiedzieć, że przeciętnie budowa kilometra wypadnie po 32 000 franków. Nie na Tokaido, oczywiście, to jest nie na drodze, którą pan przebył. Jest to droga rządowa, zbudowana przez państwo, bardzo kosztowna. Ale mówią o kolejach japońskich, długości pięciuset kilometrów, oraz o linii, która ciągnie się na południe od Kobe, i o linii z Kinszinu do wyspy południowej. Istnieje mnóstwo towarzystw kolei mniejszych, po dwanaście kilometrów długości, ale wszystkie znikają. Na taniość budowy wpływa naturalnie położenie kraju. Dowóz szyn łatwy, zawsze bowiem znajdzie się jakiś strumień, płynący w głąb kraju, który je poniesie blisko oznaczonego punktu. Materiał budowlany jest pod ręką, a personel – krajowy. Na czele przedsięwzięć budowlanych stoi wprawdzie kilku inżynierów europejskich, ale sądzę, że gdyby ich usunięto, Japończycy nie przestaliby budować kolei. Umieją ciągnąć dobre zyski. Akcye jednej kolei, zbudowanej z gwarancją państwa, wypuszczono po osiem od sta. Dotychczas nie potrzeba było odwoływać się do gwarancyi, gdyż kolej przynosi dwanaście od sta. Ogromne ładunki drzewa i żywności idą do większych miast, a poza tem istnieje miejscowy ruch, o którym nie podobna mieć pojęcia, dopóki go się nie zobaczy. Ludzie ruszają się bez ustanku w obrębie trzydziestu kilometrów dla swych interesów i przyjemności, a głównie dla przyjemności. Mówię panu, że Japonia stanie się niezadługo siatką dróg żelaznych. Za jakie dwa miesiące będzie pan mógł przejechać prawie tysiąc dwieście kilometrów samą linią Tokaido, od jednego do drugiego krańca wysp środkowych. Droga ze wschodu na zachód – znacznie trudniejsza. Góry są tu silną przeszkodą; upłynie też nieco czasu, zanim Japończycy zakładać będą koleje w poprzek. Ale zrobią to, niewątpliwie, dla postępu krajowego. (...) (s. 110)

(...)

(s. 112) – Kto jest obecnie najznakomitszym artystą w Japonii? – zapytałem.

– Umarł biedak w zeszły piątek, w Tokio, a niema następcy. Nazywał się Kiosai i, wogóle, nie zabierał się inaczej do pracy, jak po pijanemu. Najlepsze obrazy malował wówczas, gdy był pijany.

– „Wzruszony”. Artyści nie są nigdy pijani.

– Racya. Pokażę panu gardę od szabli, zrobioną według jego rysunku. Wszyscy najlepsi nasi artyści robią mnóstwo szkiców. Kiosai tracił czas na szkice dla przyjaciół. Gdyby był trzymał się wyłącznie malarstwa, byłby zostawił dwa razy tyle. Kiedy pan będzie w Tokio, niech pan się postara o dwie małe jego książeczki, zatytułowane „Szkice pijaka”. Są to obrazy, które rysował, gdy był... w z r u s z o n y. Mają w sobie tyle werwy i rozpędu, że wystarczyłoby na pół tuzina pracowni. Uczył się u niego raz pewien artysta angielski. Ale pędzel Kiosai nie należał do tych, które się udzielają, chociaż mógł wyjaśnić swemu uczniowi nieco procedurów technicz-

nych. Czy widziałeś pan kiedy jakiego kruka, narysowanego przez Kiosai? Poznasz go pan wszędzie. Umiał on wyrazić wszystkie złe myśli, przechodzące przez głowę kruka – kruk w Japonii jest bratem szatana – i to na rysunku sześciocalowym, dwoma rzutami pędzla, umaczanego w tuszu. Spójrzysz pan na gardę, o której mówiłem. Jakże się to panu wydaje pod względem uczucia?

Na okrągłej blasze żelaznej, mającej cztery cale średnicy i przedziurawionej po środku dla osadzenia rękojeści, Kiosai naszkicował postać kulisa, usiłującego zwinąć płaszcz, który rozwiewa wiatr – nie zimny wicher, ale łagodny wietrzyk letni. Kulis bawi się, płaszcz igra tak samo. Za chwilę płaszcz będzie złożony i uśmiechnięty kulis pójdzie dalej.

Oto, co pomyślał Kiosai, a wykonał wiernie robotnik najdelikatniejszymi pociągnięciami rylca, dla tego tylko, aby przedmiot mógł spocząć w Londynie w gabinecie jakiego kolekcjonisty.

Oglądałem przedmiot z szacunkiem.

– Człowiek tworzący takie rzeczy mógłby się zabić, gdyby stracił zdolność podobnych rzutów rylca. Lepiej dla niego, że umarł, ale żałuję, że go nie poznał. Pokaż mi pan jeszcze cośkolwiek.

– Mam też malowidło Hokusaia, wielkiego artysty, który żył w końcu osiemnastego i na początku dziewiętnastego wieku. Musiałeś pan coś słyszeć o Hokusai?

– Owszem. Słyszałem, że niepodobna dostać autentycznego jego obrazu.

– To prawda, ale ten pokazywałem ekspertowi rządu japońskiego, osobie, u której zasięga rady, w razie wątpliwości, mikado; następnie widział to jeden z najlepszych europejskich znawców sztuki japońskiej, a mam też i własny pogląd, aby wiedzieć, ile jest warta gwarancja człowieka, od którego obraz kupiłem. Patrz pan.

Rozwinął zwój jedwabny, na którym ukazała się postać dziewczyny, niosącej na rękę paczkę bielizny, przed chwilą upranej, jak wskazywała stojąca obok wanienska. Ciemno-niebieska chusteczka, rzucona lekko na lewe przedramię, ramię i szyję, przygotowana była do związania bielizny, kiedy paczka będzie złożona na ziemi. Kontury prawej ręki dostrzec było można poprzez lekką tkaninę rękawa. Prawą ręką trzymała bieliznę z wierzchu, lewą podtrzymywała ją od spodu. Z podszytych, granatowo-czarnych włosów wyglądały zarysy lewego ucha.

Dopiero po kilku minutach, gdy już stwierdziłem nadzwyczajną pewność rysunku, zauważyłem niesłychane wykończenie szczegółów, począwszy od ozdobnych szpilek we włosach do groszkowanych sabotów drewnianych.

– Zwróć pan, z łaski swojej, uwagę na to, że malowidło na jedwabiu nie znosi poprawek – objaśnił z dumą właściciel. – Raz rzucona kreska musi pozostać. Można tylko zaznaczyć lekko kontury węgielkiem, który się następnie zdmuchuje szczoteczką z piór. Jakżeż on się znał na tkaninach i barwach, jak odczuwał wy-

bornie karnacę kobiety! Któżby go mógł nauczyć dziś czegokolwiek pod tym względem? (115)

LIST IX: Legenda o moście w Nikko oraz historia uniknięcia nieszczęścia

(...)

(s. 122) Nad brzegiem rzeki siedziało szeregiem pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt postaci ze skrzyżowanymi nogami, w których doświadczone oko poznało od razu posążki Buddy. Miały one wszystkie, nawet te, które mech pokrył jakby trądem, spokój i nieruchome spojrzenie tego Pana Ziemi. W rzeczywistości nie były to posążki Buddy, ale co innego – ofiary wielkich zapomnianych ludzi zmarłym instytucjom albo może pomniki przodków. Baedeker wam to wyjaśni. Była to długa czereda upiorów. Przyjrzawszy się bliżej, zobaczyłem, że różnią się między sobą. Niektóre trzymały w złączonych dłoniach mnóstwo kamyków rzecznych, złożonych tam widocznie przez dusze pobożne. Zapytałem jednego z przechodniów, co to znaczy, a ten odpowiedział:

– Są to oblicza boga, który bawi się z małymi dziećmi tam wysoko, w niebie. Opowiada im bajki i buduje domki z kamyków. Znoszą mu ich tyle, aby nie zapomniał bawić się z dziećmi i miał z czego budować.

Nie wiem, czy przechodzień mówił prawdę, ale biorą tę legendę za słowa Ewangelii. Tylko Japończycy mogli wymyślić boga bawiącego się z małymi dziećmi. Po tym wyjaśnieniu postaci przybrały dla mnie inne kształty; nie były już posągami „grecko-buddystycznymi”, ale moimi osobistymi przyjaciółmi. Dodałem najweselszej z nich kupę kamyków. Piersi jej były ozdobione małymi tabliczkami, na których wyryto modlitwy. Nieco wyżej, ponad brzegiem rzeki, była samotna skała, wyciosana, jak mi mówiono, w kształt ołtarza szintoistów. Wiedziałem o tem coś więcej: przedmiot był hinduski; oglądałem z każdej strony gładkie kamienie, szukając zwykłej mazaniny czerwoną farbą. Na gładkiej skale, nachylonej ku wodzie, wyryto pewne znaki sanskryckie, podobne z dołu do tych, które widać na młynach tybetańskich. (s. 123)

(...)

(s. 125) Weszliśmy do świątyni czy grobowca, sam nie wiem, przez bramę z rzeźbionych kolumn. Jedenaście z nich pokrywał deseń z listków koniczyny, zwróconych ku dołowi, na dwunastej zaś koniczyna zwrócona była do góry.

– Nie trzeba, żeby wszystkie były jednakowe – zawołał energicznie przewodnik. – Zarazby się zdarzyło coś złego.

Zdaje mi się, że to świadoma zmiana ogólnego porządku była jedyną ofiarą rysoownika dla potężnych bogów, tak zazdrosnych o sprawność ludzką. Poza tem artysta zrobił, co chciał, wykonał dzieło godne bogów, arcydzieło z drzewa, polyskującego laką, z emalii, inkrustacyi, rzeźby i bronzu, kutego i artystycznie cyzelowanego. Kiedy zdawał bogom sprawą ze swej pracy, uniknął zazdrości sędziów, wskazując na kolumny z listkami koniczyny jako dowód, że jest zdolnym śmiertelnikiem i nie myśli im dorównać. Podobno nikt dotąd nie dał dokładnego rysunku, ani opisu świątyni w Nikko. Mógłby tego spróbować jaki Niemiec, ale braknie w jego pracy uczucia. Francuz jedynie umiałby oddać uczucie, ale byłby niedokładny. Co do mnie, wyniosłem stamtąd mętne wspomnienie przepychu drzwi z emaliowanemi zawiasami, ze złożonymi progami i oddrzwiami z czerwonej laki, ujętymi w ramy brązowej kraty. Drzwi te prowadziły do słabo oświetlonego przedsionka, w którym na błękitnem sklepieniu swawoliły złote smoki, rzygające ogniem. Cicho stąpający kapłan poruszał się niespokojnie w ciemności i pokazał mi wielką, pękatą, półtora metra wysoką latarnię, którą niegdyś przysłali świątyni w darze kupcy holenderscy.

Schody świątyni były z czarnej laki, ramy zaś rozsuwanych, parawanowych ścian – z czerwonej. Obojętne mi było zgoła, że tyle, takie stosy złota, kosztowała ta świątynia. Chciałem wiedzieć tylko, jakimi byli ludzie, którzy wtenczas, kiedy to kryptomerye były zaledwie krzaczkami, przepędzali życie w jakimś zagłębieniu lub zakątku świątyni, a umierając, przekazywali obowiązek zdobienia świątyni swym potomkom, chociaż ani ojciec, ani syn nie mieli nadziei oglądania ukończonego dzieła. (126)

LIST X: (...) jak wydawałem gazetę cywilną i wojskową,  
niegodną zupełnie wiary

(...)

(s. 137) Wybrałem się na zwiedzenie Tokio. Jestem już znużony świątyniami; jednostajnym swym przepychem przyprawiają mnie o ból głowy. Niektórzy utrzymują, że Tokio zajmuje taką samą powierzchnię, jak Londyn. Inni znów mówią, że to miasto ma zaledwie szesnaście kilometrów długości, a dwanaście szerokości. Różne są sposoby rozstrzygnięcia tej kwestyi. Wszedłem do herbaciarni, na szczyt zielonego wzgórza i z tej wyniosłości patrzyłem na miasto. Od brzegów morza ciągnęła się w dal, jak okiem sięgnąć, jedna zwarta masa szarych dachów, poprzedzielanych kominami fabrycznymi. Potem posunąłem się dalej o kilka kilometrów i spotkałem park i jeszcze ładniejsze, niż przedtem, dziewczyny; patrząc z góry, zobaczyłem miasto, rozciągające się znowu w drugim kierunku tak daleko,

jak okiem sięgnąć. Licząc, iż przeciętny wzrok ludzki sięga na odległość trzydziestu kilometrów w dzień pogodny, przypuszczam, że Tokio ma pięćdziesiąt osiem kilometrów długości i tyleż szerokości, a może i więcej. Życie wre we wszystkich dzielnicach. Podwójne linie tramwajów przebiegają po głównych ulicach, szeregi omnibusów stoją przed głównym dworcem kolejowym, a „Główne Towarzystwo Omnibusów w Tokio” uwija się po mieście w kształcie złotych i czerwonych wozów. Wszystkie tramwaje były pełne, pełne też były wszystkie omnibusy prywatne i publiczne, a na ulicach pełno foteli na kółkach. Od wybrzeża do cieniściego parku, od parku do najdalszych ulic – wszędzie roi się od ludzi.

Tu się można przekonać, w jaki sposób pożarła ich cywilizacja zachodnia. Co dziesiąty człowiek ubrany jest po europejsku, od stóp do głowy. Dziwna to rasa. Może ona parodiyować wszelkie typy ludzkie, jakie się spotyka w wielkim mieście angielskim; ale gdy zagadasz do tej imitacji europejskiej, może odpowiedzieć tylko po japońsku. Błądząc po ulicach, zwracałem się do ludzi, którzy mi się wydawali najbardziej angielskimi. Niezmierna ich grzeczność nie odpowiadała zgoła ubraniu, ale nie umieli ani jednego słowa z mego języka. A tymczasem szklony sklepów są angielskie, tramwaje zbudowane podług modły angielskiej, towary po sklepach angielskie i ogłoszenia na ulicach także po angielsku drukowane.

Znalazłem się przypadkiem przed biurem redakcji jednego dziennika. Wszedłem i poprosiłem pana redaktora. Wszedł do mnie młodzieniec w czarnym surducie; był to redaktor „Opinii Publicznej w Tokio”. Nie znajdziecie w innych częściach świata redaktorów, którzyby was częstowali herbata i cygarami, zanim rozpoczną rozmowę. Mój przyjaciel mało miał w sobie angielskiego. Chociaż tytuł jego dziennika wydrukowany był po angielsku, całe pismo było japońskie. Nie powiedziałem jeszcze po co przyszedłem, a redaktor „Opinii Publicznej” zagadnął:

– Jesteś pan Anglikiem? Co pan myśli obecnie o amerykańskim Traktacie Rewizyjnym? (...)

Japonia ogłasza, że jest obecnie cywilizowana. Jest to węzeł całej sprawy. „Zaprzestańmy raz – mówi Japonia – głupiego systemu otwierania portów dla Europejczyków oraz paszportów zagranicznych. Dajcie nam miejsce wśród cywilizowanych narodów ziemi. Chodźcie do nas, handlujcie z nami, czujcie się dobrze u nas. Ale – poddajcie się naszym prawom i naszym taryfom”. Otóż narody cudzoziemskie, o ile któremu z nich udało się otrzymać specjalne taryfy dla swych towarów, nie bardzo pragną wejść do kategorii pospolitego tłumu. Zastosowanie się do poglądów Japonii byłoby bardzo wygodnym dla jednostki, która chce szukać powodzenia wewnątrz kraju, ale – nie dla narodu. (...)

– Stajemy się ludźmi cywilizowanymi. Byleby nie za prędko, bo to nic nie warto. Mamy obecnie w państwie dwie partie: liberalną i radykalną. Na czele jednej stoi jeden hrabia, na czele drugiej – drugi. Radykał powiada, że powinniśmy stać

się jak najprędzej Anglikami. Liberal zaś odpowiada: nie tak prędko, gdyż naród, który zbyt pospiesznie przyjmuje obyczaje innych narodów, dąży do upadku. Ta sprawa cywilizacji i amerykańskiego Traktatu Rewizyjnego zajmowała nas specjalnie. Mniej już gorąco chcemy być cywilizowani obecnie, niż przed dwoma lub trzema laty. Nie tak prędko – oto nasze hasło. Tak.

Porównywaliśmy przez chwilę różne cywilizacje, zaprotestowałem więc przeciwko brudzeniu ulic w Tokio szeregami domów, zbudowanych na modłę europejską.

– Nie potrzeba przecież – dodałem – usuwać waszej własnej architektury.

– O! – zawołał pogardliwie redaktor „Opinii Publicznej” – nazywasz ją pan małowniczą. Zapewne. Ale niech pan poczeka, aż się zapali. Dom japoński staje się wtedy fajerwerkiem. Uważamy więc za słuszne budować na sposób europejski. Niech mi pan wierzy, że nie zaprowadzamy żadnych zmian bez głębokiego namysłu. Nie jesteśmy, proszę pana, owemi ciekawymi dziećmi, spragnionymi nowości, za jakich nas mają niektórzy. Minęły już czasy, gdyśmy podnosili z ziemi jakie przedmioty, aby je co prędzej rzucić. Rozumie pan? (s. 140)

#### LIST XI: (...) Harakiri. – Wsiadam na statek. – Ostrzeżenie

(...)

(s. 150) W dziennikach japońskich, wśród notatek o koncesjach kolei żelaznych, kopalni i tramwajów, czyta się niekiedy ogłoszenia takiej treści: „Dr... wykonał h a r a k i r i dzisiejszej nocy w swym prywatnym mieszkaniu przy ulicy takiej a takiej. Do czynu tego doprowadziły go zmartwienia rodzinne”. Otóż harakiri nie znaczy, iż samobójstwo spełnione zostało podług jakiejś specjalnej metody. Harakiri to znaczy harakiri, a widok prywatnej egzekucji jest jeszcze okropniejszy, niż urzędowej. Dziwnie pomyśleć, że taka zwinna osóbką, ubrana po europejsku, nosząca cylinder na głowie, może w chwilach udźwień moralnych, spuścić włosy na brwi i, po odmówieniu modlitwy, rozplatać sobie brzuch nożem... Kiedy będziecie w Japonii, obejrzyjcie u fotografa Farsari fotografie, przedstawiające harakiri i fotografie ostatnich egzekucji ukrzyżowania z przed lat trzydziestu. Następnie zapytajcie u Deakina o model głowy człowieka, skazanego niedawno na śmierć. Jest tyle okropnej prawdy w tej nowej pracy artystycznej, że się człowiekowi słabo robi, gdy na to patrzy. Japończycy, tak jak cały Wschód, mają w swych kompozycjach wrodzone skłonności do krwiożerczego okrucieństwa. Jest ono obecnie starannie ukrywane, ale widać je na niektórych obrazach Hokusai’a, widać, że lud niezbyt dawno temu z szaloną rozkoszą wyrażał to okrucieństwo jawnie. (...) (s. 151)



(s. 152) Tegoż dnia wieczorem obliczaliśmy najściślej korzyści naszego pobytu w kraju Małych Dzieci. A więc – Nagasaki, szare świątynie, zielone wzgórza i cuda potoku, oglądane po raz pierwszy; Morze Wewnętrzne, trzydziestogodzinna panorama, w której przesunęły się przed naszymi oczyma tysięczne wysepki, malowane dla naszej rozkoszy na kolor szary, brunatny i srebrny; Kobe, gdzieśmy dobrze jedli i poszli do teatru; Osaka – Osaka kanałów i kwiatów brzoskwinowych; Kioto – szczęśliwy leniuch, wspaniałe Kioto i niebieskie potoki i niewinne rozkosze Araszimy; Otsu nad wodnistym, bezbrzeżnym jeziorem; Myanoszita w górach; Kamakura – w pobliżu oceanu Spokojnego, gdzie zasiadł wielki bóg Budda i słucha w spokoju duszy szumu wieków i mórz; Nikko, najpiękniejsza miejscowość pod słońcem; Tokio – króliczarnia ludzka, w znacznej części cywilizowana i dążąca całkowicie do postępu; wreszcie różnorodna, franko-amerykańska Yokohama – wszystko to przeszliśmy myślą i segregowaliśmy najpiękniejsze nasze wspomnienia.

– Jakiegoż rodzaju ogólne wrażenie wyniesie pan stąd? – zapytał profesor.

– Dziewczyna w jasnej szacie pod rozkwitłym drzewem wiśni. Poza nią zielone sosny, dwoje dzieci i mostek z wygiętym grzbietem, rzucony nad zielonkawą rzeką, płynącą po niebieskich kamykach. Na pierwszym planie – policjant w źle dopasowanym, europejskim mundurze, pijący herbatę z biało-niebieskiej filiżanki, przy stoliku z czarnej laki. Postrzępione białe obłoki na niebie i zimny wiatr na ziemi.

– Moje wrażenie jest nieco odmienne. Mały chłopczyk japoński w płaskim kaszkiecie niemieckim i zbyt szerokim zakiecie; król, wychodzący ze sklepu zabawek, a kolej żelazna, wychodząca z drugiego sklepu zabawek, setki drzewek, pomalowanych na zielono. Wszystko to zapakowane w pudełko z drzewa kamforowego razem z wyjaśnieniem, nazwanem konstytucją – cena: dwadzieścia centów.

– Widziałeś pan złą stronę rzeczy. Ale po co opisywać swe wrażenia? Każdy człowiek odczuwa własne. (...) (s. 153)

(przetłomaczył Maryan Poloński)

Wybór: Małgorzata Ławacz